

Niektórzy potrafią się podporządkować. Śledzą trendy, mody i dopasowują się, wychodzą naprzeciw potrzebom, spełniają marzenia, ale cudze, nie własne. Trzeba z czegoś żyć. Można żyć tymi marzeniami albo innymi. Zawsze powtarzano mi, że artyści się sprzedają, wcześniej czy później. Ja też sprzedaję to, co mi przyjdzie do głowy, nawet jeśli na początku wydaje mi się to niepopularne, w końcu znajduję nabywcę, ale nie mam zamiaru się płaszczyć przed nikim. Owszem, gdybym przymierała głodem, jak już obgryzłabym korę ze wszystkich drzew w sadzie, może myślałabym inaczej. Wiem, że kiedyś za ten komfort przyjdzie mi zapłacić, odkładam na to konto do świnki skarbonki, słyszę z tyłu głowy ten złowieszczy szept, że na to nie zasłużyłam. Mrozi mi kark, aż cała sztywnieję. Ten lęk uciska mi klatkę piersiową, jakby się nagle na mnie zważyło drzewo i nie mogę oddychać. Popiskuję tylko wtedy cicho jak nadepnięta mysz. Są na to na szczęście odpowiednie tabletki, trzeba je tylko popić dużą ilością czerwonego wina. To przywraca mi krążenie krwi.

Czasem mi smutno, że nie ma wielu lalek w moim domu, bo wszystkie od razu jadą do galerii, na wystawę, do nowego właściciela. Ale nie mogę się tym smucić, bo to zabrzmi, jakbym była niewdzięczna. Powinnam się cieszyć, ale jednak czasem odczuwam dziwną pustkę, a może to znów lęk, że jeśli już niczego nie stworzę, to nie zostanie mi nawet żadna pamiątka po mnie. Dlatego muszę szybko robić kolejne lalki. Zaczęłam już tworzyć serie. Imiona na każdą literę alfabetu, oraz pory roku, dni tygodnia, miesiące. Parszywa trzynastka, szczęśliwa siódemka, do trzech razy sztuka, a nawet karty tarota i znaki zodiaku. Za każdym razem, kiedy kończyłam serię wydawało mi się, że już nic nie wymyślę, że w końcu dosięgnę dna, że zabraknie mi pomysłów. Ten paralizujący lęk wraca dość cyklicznie, ale zawsze jakoś w ostatniej chwili udaje mi się przed nim uchronić. Czasem wręcz wydaje mi się, że to ten lęk mnie napędza, on sprawia, że tworzę, żeby przed nim uciec. Wynajduję nagle znikąd, z tej przepastnej putki, nowe motywy, albo wracają do mnie jak bumerangi te zapomniane, odkładane uporczywie, nijakie pomysły, które potrafią mnie nagle olśnić i zaczarować. Byłe drobiazg może nagle mnie otworzyć, to jak trepanacja, i nagle z czaszki na stół wysypują się wizje. Kamienie szlachetne na przykład okazały się wyjątkowo inspirujące, te mieniające się szkiełka, zaskakująco filtrujące światło, jak

kalejdoskopy. W ogóle kolor. Monochromatyczne panny od stóp do głów: każdy detal w danym kolorze, łącznie z tęczę i źrenicą oka.

Do tej pory odmówiłam niewielu zamówień. Jedna pani chciała mieć lalkę z futrem swojego kota i kocią twarzą. Bardzo go kochała, a w poprzednim wcieleniu była ponoć kotem, pokazywała mi nawet na to jakieś papiery. Twierdziła, że to jedyny sposób na zjednoczenie ich dusz, powinnam zrozumieć. Kto jak kto, ale ja powinnam to zrozumieć. Byłam dumna z siebie, że nie rozumiem, że jednak mam jakieś wewnętrzne ograniczenia. Miałam też propozycję robienia lalek narodowych, nie tyle ludowych, co lalek patriotek, dźwigających te wszystkie martwe symbole i manifestujących odrębność. Nie widziałam w tym jednak nic ciekawego. Wolę rzeźbić anioły ze spalonymi skrzydłami, zieleniejące nimfy wodne w wiankach z korzeni, dzieciną, a jednak stutrzydziestoletnią wampirzycę, która wygląda niepozornie, ale przeżyła już wszystkich. Rzadko robię lalki dzieci, ale ta była wyjątkowa.

Proszono mnie też o zrobienie lalki wielkości człowieka, żeby mogła nosić ubrania zmarłej żony. Ale ja naprawdę nie po to robię lalki, żeby były takie jak ludzie. Jeszcze niech sikają, płaczą, albo chociaż dadzą się całować i gatunek ludzki może wyginąć. Nie chcę za to brać odpowiedzialności. A podobno to ja jestem zboczona, przedkładając towarzystwo porcelany nad ludzkie. Zapewne dlatego, że byłam wiecznie odrzucana, niechciana, więc się wycofałam, wyizolowałam, i zdziczałam zupełnie. Albo może było zupełnie odwrotnie, może nie miałam kompletnie intymności, (niepotrzebne skreślić), i zanim sama stałam się lalką, zaczęłam je rzeźbić. Zwyrodniałe, skrzywione, karykaturalne, nadzwyczajnie dziwne kukielkowate figurki. Trudno je polubić. Zastygłe w chwili, nieporuszone, choć poruszające. Niepokojąco ludzkie, wytykają nam własne ograniczenia. Mogłam się w nich schować, albo między nimi. Za nie nigdy nie było mi wstyd, w przeciwieństwie do ludzi. Przed nimi nigdy nie musiałam niczego ukrywać. Nawet kiedy Mira brała je do ręki, patrzyła im głęboko w oczy, przykładając do ucha jak muszlę, widziała w nich wszystko, ale nie mnie. Bo mnie już dawno tam nie było, już dawno byłam gdzieś indziej, albo po prostu obok niej. Nie ma w tym żadnej wielkiej zagadki, mimo, że przedmioty potrafią

być tajemnicze. Odwracając uwagę od rzeczywistości, pozwalają od niej odpocząć, żeby potem można było z nową, zdwojoną siłą do niej wrócić.

Bardzo chciałam zrobić lalkę przezroczystą, ale nie potrafiłam sobie poradzić ze szkłem ani nawet akrylem. Nie chciałam już nikogo więcej w to lalkowe przedsięwzięcie angażować, bo i tak zrobiła się z tego niemal fabryka. Za to zrobiłam ją ażurową. Wyrzeźbiłam koronkę, przez którą widać było, co ma środka. A był tam tylko mały robak. Ledwo widoczny, ale jednak obecny. Niektórzy i tak potrafili go przeoczyć. I tak to jest: nawet jak jesteś przejrzysta, można przeoczyć co masz w środku. Jesteśmy domem robaka, niczym więcej, ale i tak nikt tego nie widzi. Bywamy na tyle przezroczyści, że niektórzy potrafią przeszyć nas na wylot, przechodzą na drugą stronę, nawet nie zauważając, że stanęliśmy im na drodze. Ja czułam się już całkowicie rozdeptana. Miałam dosyć tych pielgrzymek tam i z powrotem; gdzie bym nie stanęła, zawsze stanęłam komuś na drodze. Zamiast ominąć, szli prosto na mnie. Nie stanowiłam żadnej przeszkody, można mnie było rozdeptać. Obejście mnie naokoło byłoby wyrazem ogromnego uznania.